

Stanisław Salzman - gawęda tragiczna. Lwowski esej środowiskowy

«Stanisław Salzman: a tragic yarn. A Lvov sketch»

by Ireneusz Piekarski

Source:

Second Texts (Teksty Drugie), issue: 5 / 2007, pages: 214-226, on www.ceeol.com.

The following ad supports maintaining our C.E.E.O.L. service

eBooks on Central, East and Southeast Europe



Christen und Türken.
Ein Skizzenbuch von der Save
bis zum Eisernen Thor

The Christians and the Turks.
A Travelogue from the Sava River
to the Iron Gate

By **Siegfried Kapper**

Textor Verlag GmbH,
Frankfurt am Main, 2008, (in German)

Digsimile (i.e. text-based digital
re-edition) of the First Edition in
Leipzig, 1854 .

In the first and second part of "The
Christians and The Turks", Siegfried
Kapper presents his personal travel
observations of the life of the people
living at the Croatian border, espe-
cially the life of the Bosnian Turks.

more on:

www.dibido.eu

Ireneusz PIEKARSKI

Stanisław Salzman – gawęda tragiczna. Lwowski esej środowiskowy

Zacznijmy od długiego, ale jakże sugestywnego cytatu-motta. Władysław Panas, upominając się o zupełnie zapomniany po wojnie obszar polskiej literatury i sztuki, pisał w roku 1987 (*Literatura polsko-żydowska: pismo i rana*, „Akcent” nr 3):

Na skraju galaktyki Gutenberga znajduje się wysypisko, na którym gromadzą się odpady cywilizacji pisma i druku. Literatura brukowa, uliczna, sprzedajna. Rojowisko tandety tekstowej, grafomanii. Wstydlive świadectwo niedoskonałości ludzkiego ducha, nadużycia pióra i druku. Produkty uboczne, efekty kulturowego wydalania. Coś pośredniego między grobem i dołem kloacznym. Zapelnione przez podejrzaną towarzystwo, szpargały, strzępy, okaleczone szczątki, bez twarzy-okładek. Twory nieudane, kalekie, poronione. Słowem, śmietnik. Czasem coś z tego przemknie do najgłębszych trzewi bibliotek, przypadkowo, raczej dzięki rutynowej, biurokratycznej czynności bibliotekarza niż świadomej woli gromadzenia. Zazwyczaj jest przedmiotem działań asenizacyjnych. Zalega w stosie makulatury, w wilgotnych piwnicach, na strychach. W mroku, na skraju fizycznej zagłady. Wszystko to, co nie powinno istnieć i o czym nie powinno się pamiętać, nawet w encyklopediach, słownikach czy opracowaniach. Ze wstrętem odwraca się esteta, moralista – piętnuje, ściga – pedagog. [...]

Pamiętajmy jednak, że w pyle i kurzu szpargałów ukrywała się u Schulza Księga. Tam odnalazł jej ślady. Na śmietniku jest może miejsce każdej Księgi. Z tego śmietnika słychać szept. Kto mówi z tego miejsca? Odrzucony, potępiony wśród potępieńców.

Próżno szukać wierszy Salzmana w antologiach poezji Dwudziestolecia, a informacji o nim w słownikach, leksykonach czy biobibliografiach. Selekcja naturalna – mógłby krótko rzecz skwitować literaturoznawczy darwinista – do historii literatury nie trafiają wszak wszyscy, którzy popełnili kiedyś tom wierszy czy zbiorek opowiadań. O jednych się pamięta, o drugich nie. Proste i oczywiste. Jednak *casus* kompletnie nieznanego poety Stanisława Salzmana nie jest ani całkiem „prosty”,

Piekarski Stanisław Salzman – gawęda tragiczna

ani zupełnie „oczywisty”. A i sprawa kształtowania kanonu nie taka znowu „naturalna”.

Jan Śpiewak – twórca też, niestety, nieco dziś zapomniany (raczej mąż swojej żony niż poeta *primo voto*) – napisał w książce *Przyjaźnie i animozje* w 1965 roku:

Myśl moja nieustannie powraca do postaci Stanisława Salzmana, chciałbym na nowo go zobaczyć, wyraźnie nie upraszczając ani też nie idealizując po latach. Rozmawiając o nim z najbliższymi przyjaciółmi, [...] słyszę jedno podstawowe sformułowanie: „Wśród nas on był najciekawszy, nawet wówczas, gdy zdania jego przyjmowano kontrowersyjnie”.

Zaś Julian Strykowski w *Ocalonym na Wschodzie* wspominał na początku lat dwięćdziesiątych: „Nie przypuszczam, żeby go ktoś pamiętał, prócz żyjącej żony. A przed wojną brylował jako eseista i poeta w lwowskich »Sygnałach«. Był znaną postacią we Lwowie”. Najciekawszy, znany, brylował... Już same te określenia użyte przez cenionych pisarzy zwracają uwagę, zatrzymują wzrok, domagają się – choćby chwilowej – refleksji: kto zacz?

Kim więc był Stanisław Salzman? – zapytajmy. I dlaczego tak niewiele wiemy o jego życiu i śmierci? Czytając książkę Śpiewaka, wynotowujemy, że Salzman urodził się w Starym Samborze przed 1908 rokiem – był bowiem „nieco starszy” od autora *Przyjaźni i animozji* – i że jego ojciec był lekarzem w tym galicyjskim miasteczku. „O matce mówił rzadko”. Miał brata. Swego domu nie lubił... Tyle, z grubsza, Śpiewak o rodzinie Salzmana. Czy datę urodzenia przyszłego poety uściślimy, szperając w zasobach Archiwum Głównego Akt Dawnych? Niestety, nie zachowały się księgi metrykalne ze Starego Sambora z najbardziej nas interesujących lat. Przepadły roczniki 1904-1909. Możemy jedynie podać mało precyzyjny wniosek negatywny: z pewnością Stanisław nie przyszedł na świat przed rokiem 1904. Z zachowanych zapisów archiwalnych i wspomnień Śpiewaka wynika więc, że daty urodzin naszego bohatera należy szukać gdzieś pomiędzy 1904 a 1907.

Ze wspomnień Śpiewaka wiemy jeszcze, że pod koniec lat dwudziestych Salzman studiował polonistykę na UJK we Lwowie. Był uczniem Juliusza Kleinera. I tak jak profesor uwielbiał Słowackiego, nie znosił zaś Mickiewicza. Studiów nie skończył, choć był ponoć piekielnie zdolny: jego pracę proseminaryjną Kleiner uznał za rozprawę doktorską. W roku 1928 – jako student jeszcze – wydał w prowincjonalnej oficynie w Żółkwi swój pierwszy (i ostatni) tom wierszy *Przez pryzmat śmierci*. Jeden egzemplarz zachował się w Bibliotece Narodowej. Jest to mała (formatu B6), szarobura książeczka, wydrukowana na kiepskim papierze, z miękką – niemal papierową – okładką. 32 strony. 23 wiersze. O śmierci, o miłości, o cierpieniu, o krzywdzie społecznej. Nie tylko na pierwszy rzut oka – dość marna przepustka do wieczności. I przez historię literatury zupełnie zlekceważona.

Wiersze Salzmana utrzymane są w tonacji melancholijnej (nie są skamandryckie, jak na przykład wydane w tym samym roku *Przemysły* Mieczysława Brauna, są może nawet po trosze młodopolskie): oglądamy wszak świat przez pryzmat śmierci, która ma tu poniekąd eliotowskie oblicze, to z początku *Ziemi jałowej*. W otwierającym tomik wierszu *Wiosna* czytamy:

Wyniosła białą ciszę śnieżystych gór i dolin
[...]
potrafił słońca blask i ptaków śpiew na roli
[...]

Zwiastując, że nadchodzi, zwiastując, że się rodzi
brutalny tryumf życia nad białą dobrą śmiercią
[...]

Ów strach przed światem i życiem szczególnie widoczny jest w krótkim wierszu o samobójcy, wierszu zaczynającym się od charakterystycznego wyznania: *Boję się jutra*. I zakończonego postanowieniem-refleksją:

o! pójdę lepiej do srebrnego stawu,
by na dnie się schować przed życiem.

A kiedy umrę, umrze ze mną Bóg,
a kiedy umrę, wyschnie srebrna rzeka –
pogasną gwiazdy i skończy się świat,
ze śmiercią jednego człowieka...

(*** *Boję się jutra...*)

Śmierć często pojawia się na kartach zbioru (tu jakby refleks talmudycznej formuły, że kto niszczy jedno życie, ten niszczy cały świat), ale jej obecność równoważona jest wzmiankami o miłości – choć postać ukochanej nie jest w utworach ewokowana (jakby po Słowackim nie było wcale Tetmajera i jego erotyków...). Dziewczyna stapia się z przyrodą: rodzi się nawet wątpliwość, do kogo właściwie kierowane są te miłosne inwokacje. Większość wierszy rozgrywa się bowiem na kanwie natury, wieś jest tu naturalnym tłem dla uczuć i kontrpunktem dla z rzadka pojawiających się krajobrazów miejskich. Jeśli już jakieś miasto trafi do wiersza, to opisane zostaje „rustykalnie”:

Roje polnych koników – śpiewające kable
i tramwajów melodie jak koncerty żabie
są najśłodsza muzyką wsi, która wyrasta
na krzyżących ulicach ogromnego miasta...

[...]
Nie czerwone tramwaje suną do garażu
ale bydło powraca. Otwórz gospodarzu
wrota stajen, bo woły wracają z roboty
słyszysz wszak już z daleka dzwoniące łopoty...

(*Nostalgia*)

Tom zawdzięcza jednolitość kolorystyce. Tytułowy pryzmat rozszczepia światło na dwa podstawowe kolory: srebrnobiałe, księżycowe i krwiste, słoneczne – są to też jednocześnie barwy śmierci: tej zimnej, usypiającej, dobrej oraz tej błyszczącej „żarem gorącym w szeroko rozwartym oku” umarłego i wykwitającej cegla-

stym rumieńcem na jego policzku. Lecz to rozlanie srebra i czerwieni na niemal wszystkie teksty staje się manieryczne, zaczyna po jakimś czasie irytować. Całość tomu dałoby się oczywiście przeczytać w kontekście freudowskim: wyraźne jest tu bowiem rozdarcie między instynktem śmierci a wolą życia.

Oprócz wierszy nostalgiczno-melancholijnych (o niebotycznych rozpaczach Salzmana napisze potem Śpiewak) znajdziemy w tomiku garść utworów „konceptystycznych”, jakby wczesnoskamandryckich. Charakterystyczne jest dla nich zafascynowanie szybkością. Pojawia się, jakże by inaczej, automobil. Tyle że ten Salzmanowski wóz pożera drogę, która z kolei ucieka „zdjęta białą trwogą” (*Automobil*). Jest również pędzący pociąg, który „Drży rozkoszą szalonej gonitwy” (*Z podróży*). Słupy telegraficzne śpiewają pieśń o swej niedoli. Klucz walczy z drzwiami...

Tomik to młodzieńczo nierówny. Obok wierszy ciekawych (takich jak *Wiosna*, *Nostalgia*, *Lato*, *** *Boję się jutra...*) pojawiają się utwory wyraźnie słabe (na przykład *Praca*, *Ballada*, *Ostatnia wizyta*) i te, niestety, przeważają. W całym zbiorze zwraca już jednak uwagę dojrzałe operowanie rytmem i rymem. Na przykład w *Wiosnie* wrażenie siły i nieuchronności nadciągających w przyrodzie zmian potęgują jambiczne sześciostopowce. Ich sylabotoniczna regularność i rozkołysanie (podkreślone powtórzeniami całych zwrotów) wzmacnia efekt, o którym mowa. Rozbijanie zaś sześciostopowego wersu jambicznego (na dwa, na trzy wersy) służy pocie dla celów ekspresyjnych: jest graficznym oraz intonacyjnym podkreśleniem rwącej się, pełnej emocji skargi robotników (*Praca*). Obok jambu pojawiają się też czasem wiersze regularnie sylabiczne. Ich użycie też jest motywowane semantycznie. Sylabik nie jest już bowiem dla Salzmana wierszem neutralnym. Służy stylizacji: tradycyjnym jedenastozgłoskowcem napisany został wiersz odwołujący się do konwencji kolędy: *Boże Narodzenie*. Regularny trzynastozgłoskowiec użyty zaś został w wystylizowanej na urbanistyczną sielankę *Nostalgii*. Z zasady bowiem młody poeta (w momencie publikacji Salzman mógł mieć 21-24 lata) pielęgnuje zakłócenia rytmiczne – niwecząc średniówkę, skracając czy wydłużając wersy. W efekcie dominują więc w tomie wiersze nieregularne i wolne. Z drugiej strony, obserwujemy jednak tendencję do rekompensowania nadszarpniętych wierszowych miar. W utworach pojawiają się bowiem wcale liczne rymy wewnętrzne, aliteracje, powtórzenia wyrazowe i głoskowe (na przykład zgrabne paronomazje, jak „jaskry iskier”). Przykładem pewnego nowatorstwa byłyby zaś rymy. Salzman z nich nie rezygnuje, ale rzadko kiedy rymuje dokładnie i głęboko. Zwykle ogranicza się do wprowadzanych od mniej więcej dekady przez futurystów asonansów, konsonansów i jeszcze bardziej odległych współbrzmień.

W owym czasie debiutowali we Lwowie bardzo różni poeci. W 1925 wydaje na przykład swój jedyny tomik wierszy pt. *Ludziom smutnym* „najsmutniejszy polski poeta” – Jan Zahradnik. W 1928 ukazuje się zbiorek *Heine i nieznajoma* polsko-żydowskiego twórcy Karola Dresdnera. Zaś przyjaciel Salzmana, Stanisław Jerzy Lec, publikuje *Barwy* w 1933. Siłą Zahradnika – tonacja: jednolita, wyrazista – to poeta smutku. Zahradnik jest balladowy, leśmianowski. Podobny też do Jerzego

Lieberta: jego poezja jest pełna zmagania ze śmiercią, a życie – zbyt krótkie, przezwane gruźlicą. Dresdner przypomniany został ostatnio wraz z całą plejadą twórców polsko-żydowskich. Jego atutem jest przynależność do zwartej i aktywnej grupy „Chwili”. A przede wszystkim problematyka tożsamości, narodu, języka, patriotyzmu, polsko-żydowski dualizm. „Wewnętrzny niepokój wynikający z nieustannego dążenia do samookreślenia, z błędzenia na szlakach dwóch ojczyzn – ziemi znanej i kochanej, lecz nie swojej – polskiej – i tej snionej, niepoznanej – swojej” – jak pisał o nim w *Znakach obecności* Ryszard Löw. Lec zaś to już nowa poezja, to wchłonięcie doświadczeń futuryzmu. *Barwy* są edytorsko zgrabne oraz wirtuozersko zorkiestrowane. Wszystkie trzy tomy czymś przewyższają wiersze Salzmana. I może dlatego ich echa docierają do nas czasem z oddali. O Zahradniku jeszcze przed wojną napisał książkę (niedużą wprawdzie, ale ciekawą) Mieczysław Piszczkowski. Poetów polsko-żydowskich zaprezentowali niedawno Władysław Panas i Eugenia Prokop-Janiec (autorka monografii i obszernej antologii poetyckiej), również Ryszard Löw poświęcił Dresdnerowi ciepły szkic wspomnieniowy „*Między Synem a Golgotą*” (z którego to zaczerpnęliśmy cytowaną charakterystykę poety). Lec po prostu sam nie dał o sobie zapomnieć, publikując po wojnie znakomite tomy, jak nostalgiczny *Rękopis jerozolimski* czy arcyzwięzłe i arcycelne *Mysli nieuczesane*...

Swego czasu zbiorek Salzmana doczekał się pozytywnej, choć nie bezkrytycznej, recenzji w poczytnej lwowskiej gazecie – w syjonistycznej „Chwili” (1928 nr 3337). Recenzja nosiła tytuł *Wśród młodych poetów* i wyszła najprawdopodobniej spod pióra Daniela Ihra, też młodego poety, tyle że polsko-żydowskiego. Recenzent „Chwili” pisał:

Twórczość Stanisława Salzmana, której pierwociny zawarte są w zbiorze *Przez pryzmat śmierci*, posiada już zdecydowany i prawie dojrzały charakter. Znajdą się wprawdzie jeszcze niedociągnięcia, polegające na powtarzaniu tych samych barw, znajdują się utwory chybione, bo leżące poza kręgiem prawdziwie własnych przeżyć, ale większość wierszy okazuje ciekawą i swoistą fizjonomię.

Razem z tomikiem Salzmana – *Dir*, bo taką sygnaturą podpisano recenzję, omówił także tom *Zgrzyty* (1927) Natana Kaczki (kolejnego zupełnie dziś zapomnianego lwowskiego poety). Wspominamy o tym dlatego, że wkrótce Salzman i Kaczka zgromadzili wokół siebie kilku kolegów-polonistów, tworząc lokalne kółko poetyckie. Do grona tego należeli jeszcze Jan Śpiewak i Stanisław Jerzy Lec. (Co najmniej raz na spotkaniu pojawił się także Pesach Stark, późniejszy Julian Strykowski, który odczytał wtedy swój wiersz pt. *Oczekiwanie*, przychylnie przyjęty przez Kaczkę).

Inauguracyjny zaś wieczór autorski grupy młodych poetów odbył się wczesną wiosną 1929. A. Liebmann (*Po odkażeniu Grenady*, „Dziennik Lwowski” 1929 nr 51), opatrzywszy swą recenzję nagłówkiem: „Recital utworów poetyckich Natana Kaczki, Stanisława Jerzego Leca, Stanisława Salzmana, Jana Jakóba Śpiewaka – w sobotę 16 bm. [tj. lutego] w sali Towarzystwa Akademickiego «Zjednoczenie»”, pisał:

Autorów, których utwory poznaliśmy na recitalu łączy – wiara w siły własne. Nadto łączy ich program. [...] W poezjach całej grupy nędma skrzypie, bunt podnieca. Obcując z tą grupą – jesteśmy w samym środku miasta wielkiego, gdzie życie szumi, kotłuje, bucha, pieni, burzy się i przelewa nadmiarem krzywdy społecznej. [...]

Stanisława Salzmana znamy już jako autora tomu poezji p.n. *Przez pryzmat śmierci*. W jego wierszach mniej żywiołowości rewolucyjnej, aniżeli u innych, opanował on po mistrzowsku formę wspaniałych konstrukcji. Skala zaś tonów – przebogata, od elektrodynamicznego pędu do spokoju „krytyka literatury”, [...] który przeżywa wewnętrznie proces epok całych i – co najważniejsze – potrafi kilkoma doskonałymi rzutami obraz tego procesu i przeżywania – narysować (*Sienkiewicz i Żeromski*). Wiersze Salzmana (*Policjant, Polska, Pieśń słupów telegraficznych, Praca, Na stacjach*) świadczą o tem, że jego wjazd do literatury współczesnej będzie nie lada sensacją.

Po recitalu – wspominał Śpiewak – do grupy dołączył Leon Pasternak (zapamiętajmy ten moment), potem przyjaciel Brunona Schulza – Artur Rzeczyca (właściwie: Buksbaum lub Buchsbaum, Buxbaum) i Józef Streicher (autor tomu *Panorama*, wydanego w Warszawie, też w 1928), a następnie Edward Brecher („więzień polityczny, o którym Żeromski pisał w *Przedwiośniu*” – przypominał autor *Przyjaźni i animozji*). „Jest taka scena w tej książce, kiedy komisarz Kajdan torturuje więźnia politycznego, każąc mu skakać po sprężynach, przez które przebiega prąd elektryczny. Tym więźniem był Brecher, kapepowiec”). Z horyzontu zniknął zaś niebawem Kaczka (jego tom zachował się na szczęście we wrocławskim Ossolineum). Na wieczorze autorskim jesienią 1930 roku sala była już wypełniona po brzegi, a w pierwszym rzędzie zasiadał nie kto inny, tylko uczelniany mistrz poetów – Juliusz Kleiner

To Streicher – który w Krakowie przyjaźnił się ponoć z Przybosiem, Kurkiem, Peiperem – zaproponował lwowiakom stworzenie grupy literackiej i wydawanie własnego pisma. A także zaofiarował się, że napisze manifest. „Jadę do Żółkwi – miał powiedzieć – spotkamy się za tydzień, dwa, w ciągu tego czasu wymyślę nowy kierunek”. Śpiewak po latach tak podsumował te zamierzenia, którym wszyscy młodzi poeci zrazu przyklasnęli:

Streicher pojechał do Żółkwi i na szczęście dla nas nie wymyślił nowego kierunku, czyli jeszcze jednej nieodpowiedzialnej komplikacji pseudoprogramowej. Ostatecznie mógł także sklecić jakiś bigos z ówczesnych modnych nurtów na Zachodzie i byłaby to tak samo nieodpowiedzialna pseudodeklaracja jak manifesty, pozał się Boże, naszych futurystów czy nawet manifest skamandrytów, który dla nich spichcił Wilam Horzyca. Można było wymyślić zabawną nazwę na prąd, znaleźć snoba, wydałoby się tych parę numerów i... strach pomyśleć! Po dziś dzień naukowcy zadręczaliby nas tą kompilacyjną bujdą, będącą symbiozą Paryża z Żółkwią. Już widzę naukowe prace na ten temat i konfrontowanie tego, cośmy napisali później, z pomysłami pocziwego belfra z małego miasteczka. Na szczęście Streicher zrezygnował z odegrania wiekopomnej roli. Dzięki mu za to.

Autor *Przyjaźni i animozji* ma oczywiście rację, drwiąc z programotwórczego zapału kolegi – żółkiewskiego nauczyciela, choć z drugiej strony trochę szkoda, że do napisania tego manifestu nie doszło. Może dzięki niemu dziś mówilibyśmy nie tylko o awangardzie krakowskiej, wileńskiej i lubelskiej, ale i czasem o... lwow-

skiej. I może dzięki tej żółkiewsko-paryskiej deklaracji niektóre wiersze Salzmana (a przynajmniej choć jeden) trafiłyby do jakiejś wyjątkowo obszernej i ambitnej antologii poetyckiej...

W okolicach roku 1930 Salzman pisał powieść. „O czym ona była?” – zastanawiał się Śpiewak. I odpowiadał:

Pamiętam soczyste opisy przyrody górskiej, na małych osiołkach jechali mnisi, baryłki wina obijały się o boki osiołków. [...] Po wielu latach ci mnisi razem z naszymi dzwoniącymi szklankami i zadzierzystemi uderzeniami nóg o podłogę weszli do moich wierszy.

Gdzie szukać owych mnichów i baryłek brzemiennej trąbką? Zapewne *in partibus infidelium*, tam gdzie i inne „książki-legendy, książki nigdy nie napisane, książki-wieczni pretendenci, błędne i stracone książki.

Ale zanim razem z nieuchronnie nadciągającą – jak co roku – wiosną wybieremy się „do prowincji niewiernych”, pójdźmy najpierw tropem wskazanym przez Śpiewaka. W jego debiutanckim tomie (*Wiersze stepowe*, 1938) trafimy na taki oto urywek:

A przecież wczoraj płynął Lwów i krzyk pijacki łobuzerii,
zaczisny Tarnawskiego szynk i miód i śpiew i powieść Stacha:
– ... na koźlich nóżkach podrygując, jechali mnisi, babi tłum
w czerwonych chustach wołał: „Wojna!” Leciwały kufle w górę, lży
ciążyły głowom. Piała noc, chybołał sufit pod gwiazdami...

(*Jesień fragment poematu*)

Tyle tylko zostało. Salzman najprawdopodobniej nie ukończył swej powieści – a z całą pewnością jej nie wydał. Po latach sam stał się jednak literackim bohaterem. Na pytanie z innego wiersza Śpiewaka (to nic że retoryczne): „Gdzie zamieszkują poeci? W jakich kręgach atmosfer?”, należałoby więc – ryzykując przy okazji truzizm – odpowiedzieć, że w słowie. I dodać: nawet jeśli nie w swoim, to w cudzym. W *Przyjaźniach i animozjach* Śpiewaka Salzman zaprezentowany zostaje jako młodzienczek wyskok, szczupły, inteligentny, błyskotliwy, dociekliwy, dowcipny i złośliwy nieco, cholerycznie nerwowy, potworny bałaganiarz: „Nie był abnegatem, ale też specjalnie nie przywiązywał wagi do swego ubioru”. Społecznik związany ideowo z PPS-owską lewicą. Człowiek o wyjątkowej szlachetności. „Stach” pojawia się także w *Czarnej róży* Strykowskiego jako bystry i przewidujący redaktor lwowskiego dziennika „Wiek Nowy”. Stanisław Sulikowski to „Wysoki brunet. Chudy, lekko zgarbiony...”, który miał „Duże czarne oczy”. „Mówił szybko, połykał końce wyrazów, jakby się bał, że nie wszystko zdąży wypowiedzieć. Palił jednego papierosa po drugim”. W innej powieści Strykowskiego, w *Wielkim strachu*, w redakcji „Czerwonego Sztandaru” poznajemy zaś poetę Gałęckiego – wysokiego, „o zgarbionych plecach i czarnych, wypukłych oczach, który pisywał [...] rewolucyjne, rozwichrzane wiersze”, wiersze „w stylu Majakowskiego, co przeszkadzało mu w tłumaczeniu prozy o płodozmianach”. Dodajmy, że nie znamy tych późniejszych utworów Salzmana, nie drukował ich ani „Czerwony Sztandar”, ani „Nowe Widnokregi”. Również cztery wiersze wymienione przez Liebmanną w 1929:

Sienkiewicz i Żeromski, Policjant, Polska, Na stacjach (czy przypadkiem nie chodzi tu o wiersz *Nostalgia?*, być może Liebmann znał liryki Salzmana tylko z recitalu, „ze słyszenia” – stąd możliwość takiej fonetycznej pomyłki), pozostają poza naszym polem widzenia. Udało się odnaleźć tylko dwa gorzkie, satyryczne wiersze w „Sygnałach” z końca roku 1937: *Poemat narodowy* i *Rodowód masona*.

Wziąwszy poprawkę na metodę pisarską Strykowskiego i uwzględniwszy fakt, iż obcujemy z literacką fikcją, możemy jednak założyć, że naszkicowany przez niego w *Czarnej róży* i *Wielkim strachu* portret Salzmana jest wierny, a przynajmniej w dużej części prawdziwy. Otrzymujemy więc wizerunek lewicującego publicysty, intelektualisty, pisarza, człowieka żywo reagującego na bieżące wydarzenia społeczne i kulturalne.

Wraz z przybyciem do Lwowa Edwarda Brechera – byłego więźnia politycznego – rozpoczyna się nowy etap w życiu lwowskich przyjaciół-polonistów. Bardziej polityczny i bardziej radykalny. Znowu pojawia się pomysł stworzenia własnej trybuny. Tym razem zrealizowany. Połączywszy siły z „Nową Kroniką” Aleksandra Dana (autora m.in. tomu *Wiosna zadżumionych*, Lwów 1924) i zbliżywszy się do ukraińskiego periodyku „Wikna”, grupa wydaje własne pismo. Pierwszy numer lewicujących „Trybów” ukazał się we Lwowie w lipcu 1931 roku. Nr 2/3 był już numerem ostatnim. Po wojnie „Tryby” stały się wręcz antykwarycznym unikatem. Ryszard Löw w zbiorze *Pod znakiem starych foliantów* opowiedział następującą historię, będącą właściwie głosem do Terencjusowego „Habent sua fata libelli”:

Tak się złożyło, że w pewien czas po przybyciu do Izraela odbyłem pieszą wycieczkę do okalających Jerozolimę klasztorów. Opuszczając jeden spośród nich, znalazłem się przy jakiejś sadzawce, koło której wędrowny handlarz starzyzną rozłożył na ziemi kupkę książek. Z nabytego nałogu zacząłem książki te, przeważnie hebrajskie i arabskie, przerzucać i oto – wychylił się ku mnie cieniutki zeszytek w okładce koloru marchewkowego z polskim tytułem *Tryby*.

Okazał się on jedynym, mocno przez cenzurę pokiereszowanym, z mnóstwem białych plam numerem tego pisma literackiego wydanym we Lwowie w roku 1931 pod redakcją Leona Pasternaka [w lwowskiej Bibliotece Uniwersyteckiej zachował się egzemplarz numeru 2/3]. Zawierał m.in. wiersze Leca, Wygodzkiego, Śpiewaka, Pasternaka. Kiedy następnie spotkanemu w księgarni Lecowi opowiedziałem o tym znalezisku, proponował odstąpienie mu zeszytku, do czego jednak nie byłem skłonny.

W jakiś czas po powrocie Leca do Polski nadszedł do mnie, na adres tejże księgarni w Tel-Awiwie, list od Leona Pasternaka. Pisał w nim, że „dowiedział się przypadkowo” (!) o posiadanym przeze mnie egzemplarzu „Trybów”, którego on, redaktor, nie ma i nie może nigdzie znaleźć, prosi więc o przekazanie mu go w drodze zamiany książkowej. Tym razem nie oparłem się propozycji i cieniutki zeszytek „Trybów”, który przywędrował zapewne w bagażu jakiegoś miłośnika polskiej literatury – lub przez niego był do kogoś tutaj przesłany – wrócił do swojego redaktora w Polsce.

Do „Trybów” Salzman przeznaczył dwa teksty (podpisując je Stefan Sulikowski): ostrą polemikę z Irzykowskim (*Tupet ignoranta. Z powodu artykułu Karola Irzykowskiego pt. „Prekursor tzw. estetyki proletariackiej”*), „Wiadomości Literackie” 1 marca 1931, nr 9) oraz satyryczny reportaż o funkcjonowaniu typowej partii socjalistycz-

nej w miasteczku. Reportaż *Partia* został jednak skonfiskowany i *de facto* w „Trybach” się nie ukazał, lecz decyzją Sądu Apelacyjnego we Lwowie wyrok uchylono – tekst wydrukowała więc w marcu 1932 wspomniana już „Nowa Kronika”.

Później – w latach 1936-1938 – Salzman współpracował z najważniejszym lwowskim pismem społeczno-kulturalnym – z „Sygnałami”. W piśmie Karola Kuryluka i Tadeusza Hollendra ukazały się jego najdojrzalsze prace: recenzje ważnych socjologicznych książek Henryka de Mana i Olgierda Górki, polemiki (na przykład z artykułem Hulki-Laskowskiego o rewolucji niemieckiej), własne obszerne politologiczne szkice (na przykład o sytuacji w Niemczech). W „Sygnałach” umieścił także ciekawą i wnikliwą literaturoznawczą rozprawę o Słowackim (*Oblicze społeczne Słowackiego*), recenzję powieści Rotha (*Historia nocy 1002*) oraz rzeczy dotyczące kina (na przykład przypomnienie *Dziesiątej Muzy* Irzykowskiego czy krytyczne omówienie – z pozycji marksistowskich – fenomenologicznej książki Bogusława Lewickiego *Budowa utworu filmowego*, także pochwalną recenzję książki Zofii Lissy *Muzyka i film*). Salzman brał również – ponoć – czynny udział w pracach lwowskiego koła filmowego. Od 1937 pisywał pod pseudonimem Stefan Frank.

W pewnym momencie – nie wiemy dokładnie kiedy – zdobył stałą posadę redaktorską w poczytnym lwowskim dzienniku „Wiek Nowy”. Rewolucjonista nieco się ustatkował. Ożenił się. Miał córkę.

Gdy wybuchła wojna, razem z wieloma kolegami z „Sygnałów” (m.in. z Hollendrem, Kurylukiem, Górską, Borejszą, Korzuchem, Lecem) Salzman znalazł się w redakcji propagandowego sowieckiego „Czerwonego Sztandaru”. A właściwie to „Czerwony Sztandar” znalazł się u niego! Tak jak lokale syjonistycznej „Chwili” przejęła „Wilna Ukraina”, tak nowe komunistyczne pismo w języku polskim zagarnęło gmach dawnego „Wieku Nowego”, na Sokoła 4. Tym razem to góra przysłała do Mahometa...

Strykowski tak pisał o Salzmanie w tamtym czarnym okresie:

Należał do czołówki redakcyjnej. Pisywał artykuły, jedyne godne czytania. Pracował jak opętany. Ze strachu. Bał się mnie. A ja pokrywałem to milczeniem. Uważałem, że gorzej byłoby, gdybym poruszył tę drażliwą, niebezpieczną dla niego kwestię i zapewniał go, że z mojej strony nic mu nie grozi. Co by mu to dało? Nie ja jeden znałem jego poglądy. Strach swój usiłował ukryć pod maską wesołka, zabawiającego towarzystwo dowcipami z przedwojennych kabaretów. Było to chodzenie po linie. Nigdy nie spadł. Dla bezpieczeństwa popisywał się tylko przed gronem polskim. W towarzystwie Sowietów mówił dużo i głośno, jakby chciał zwrócić na siebie uwagę: oto jestem i nikogo się nie boję.

Rzeczywiście, od października do grudnia znajdziemy w „Czerwonym Sztandarze” bardzo liczne publikacje Salzmana (pisał pod pseudonimem Sulikowski). Czy godne czytania? Niestety, nie. Po części są to serwilistyczne, antypolskie teksty, jest też sporo rzeczy o likwidacji analfabetyzmu i nowych metodach nauczania, również o zaletach Stalinowskiej konstytucji. Skąd strach? Salzman nie był dość dogmatyczny, krytykował – swego czasu – procesy moskiewskie i bizantyzyzm Stalina, którego nazwał epigonem. Nieprawomyślnego publicystę „Sygnałów” określano pokątnie mianem trockisty...

Z niezbyt dobrowolnego piewcy nowego ustroju Salzman bardzo szybko staje się wrogiem ludu. O jego śmierci z relacji Śpiewaka dowiadujemy się niewiele, mianowicie że była to śmierć tragiczna, Strykowski dodaje, że zginął w łagrze – jako trockista właśnie.

By rozjaśnić nieco te grobowe ciemności, musimy przywołać inne głosy. O okolicznościach aresztowania i śmierci Salzmana napisał inny współpracownik „Czerwonego Sztandaru” – Janusz Kowalewski w książce *Droga powrotna* (Londyn 1974):

Stanisława Sulikowskiego-Zalcmana [Leon Pasternak] skazał po prostu na śmierć, gdy mu na jakimś kolejnym zebraniu „załogi zakładowej”, która tego dnia miała zdecydować o przyjęciu do „związku zawodowego pracowników „Czerwonego Sztandaru” przypomnieli: „Czy ty, kochany Stasiu, nie zapomniałeś złożyć samokrytyki ze swoich wystąpień przeciw paktowi radziecko-niemieckiemu, który nazwałeś przejawem hitleryzacji bolszewizmu?”

Wszyscy zamilkli. Powiało chłodem śmierci. Mańkowski [redaktor naczelny] złapał się za nagan – to był jego dość częsty gest, był prawdopodobnie przez jakiś czas *śledownictwem* NKWD, a Sulikowski zaczął się tłumaczyć, że on to nie od siebie powiedział, ale że przytaczał opinie innych.

– Czyżby?! – krzyknął Mańkowski. – Czyście już o tym mówili odpowiednim władzom? Nie? No to idźcie natychmiast... Ja z wami pójdę... [...]

Sulikowski już nie wrócił do redakcji. W kilka miesięcy potem spotkałem go w przejściowym więzieniu w Charkowie na dziedzińcu. Pytał, kiedy byłem aresztowany, czy wiem coś o jego żonie i córce. Wyglądał strasznie, znać było, że był mocno bity. Dostał wyrok śmierci – jak się dowiedziałem już po amnestii – wykonany natychmiast.

Z Charkowa Salzmana przewieziono do więzienia w Horodni. Tu za *uchył* w interpretowaniu Marksa skazano go na rozstrzelanie. Wyroku nie wykonano jednak natychmiast. Salzman trafił z powrotem do celi. Umieszczono go z innym przeznaczonym na śmierć obywatelem polskim. Z Wacławem Grubińskim! Publicysta skazany na śmierć za *b ł ę d n ą* analizę pism Marksa i dramaturgów skazany na śmierć za napisanie *n i e w ł a ś c i w e j* sztuki o Leninie! Z tego wspólnego wegetowania pozostała dość obszerna i ciekawa relacja. Wyłania się z niej portret Salzmana jako namiętnego palacza, gorącego polskiego patrioty, znawcy literatury, cierpiącego ojca i po prostu dobrego człowieka. Ale też wierzącego komunisty (i seksualnego maniaka...). Z książki Grubińskiego *Miedzy młotem a sierpem* (Warszawa 1990) dowiadujemy się, że Salzman żył jeszcze w kwietniu albo na początku maja 1941. Potem zabrano go na ponowne śledztwo i ponowny proces.

Podsumujmy: po denuncjacji *p r z y j a c i e l a*, Leona Pasternaka, pod koniec 1939 roku Salzman trafił do więzienia. W śledztwie łączony był ze sprawą pisarzy aresztowanych 24 stycznia, po knajpianej prowokacji: Wata, Broniewskiego, Peipera. Zginął zaś wiosną 1941 w Horodni. Jakies trzy miesiące przed paktem Sikorski-Majski...

*

Naszym celem było zebrać rozproszone po pamiętnikach i powieściach uwagi. Przypomnieć Stanisława Salzmana – poetę i publicystę. Na pamięci o nim zacią-

żyła bowiem niewątpliwie historia i polityka. Swego czasu Śpiewak mógł napisać gawędę tragiczną o Zuzannie, Zuzannie Ginczance, bo tę poetkę z Równego zamordowali hitlerowcy. O Salzmanie też, owszem, pisał – ale nie mógł dać prawdziwego zakończenia jego historii. Nasz szkic to taki żałobny *apendyks* po latach...

Po co dziś w ogóle mówić o Salzmanie? Poecie, który razem z niejakim Kaczką i niejakim Streicherem, niejakim Danem, czy niejakim Redilem ciągle *z a l e g a* w najciemniejszym i najodleglejszym kącie galaktyki Gutenberga, skąd już nie dociera nawet szept. Ze wspomnień Śpiewaka, Strykowski, Grubińskiego wyłania się postać wybitnego człowieka, intelektualisty, utalentowanego poety, którego talent nie rozbrłysł jednak. Jego zbiorek to tylko nie zrealizowana zapowiedź (wiersze juvenilne). Jego powieść to tylko wspomnienie... Ale przecież jego koledzy, dla których był niemalże kimś w rodzaju guru, to Jan Śpiewak, Julian Strykowski, Stanisław Jerzy Lec! Możemy więc założyć – choć nie mamy, oczywiście, żadnych dowodów ani pewności – że takiej miary literatem byłby właśnie Salzman. Gdyby przeżył... A może żyje jeszcze córka Stanisława Salzmana? Może ma rękopis jego powieści? Może to...

Pisać więc, by pożegnać jednego z niepożegnanych. Pisać, by utrwalić w słowie imię, żeby – jak postulował Emil Fackenheim – nie dać odnieść Hitlerowi/Stalinowi pośmiertnego zwycięstwa.

Śpiewak zauważał z przekonaniem: „Nie wiem [...], czy Salzmann pisałby wiersze, nigdy nie wiadomo, poezja mogła odejść od niego, aby po wielu latach wrócić znowu. Wiem, że gdyby dożył, byłby znakomitym uczonym i wybitnym publicystą”.

Przypominamy więc Stanisława Salzmana – zapomnianą osobowość przedwojennego Lwowa.

Stanisław Salzman, z tomu: *Przez pryzmat śmierci* (1928):

Wiosna

Wyniosła, białą ciszę śnieżystych gór i dolin
i tęskne zadumanie milczących, szarych godzin
potrafił słońca blask i ptaków śpiew na roli
i rzeki szum nieznośny zwiastując, że nadchodzi;

Zwiastując, że nadchodzi, zwiastując, że się rodzi
brutalny tryumf życia nad bielą dobrej śmierci,
nad tęsknem zadumanem milczących szarych godzin
i nad spokojem wielkim zamkniętym w mojej piersi.

Boję się jutra, które nagle zleci
tak bezszelestnie jak upiór,
i krwawą jutrznią w oczy zaświeci
i z mego szczęścia obłupi...

W twarz moją bryźnie śmiechem plugawym,
co zmiążdży wszystko, ukochane skrycie –
o! pójdę lepiej do srebrnego stawu,
by na dnie się schować przed życiem.

A kiedy umrę, umrze ze mną Bóg,
a kiedy umrę, wyschnie srebrna rzeka –
pogasną gwiazdy i skończy się świat,
ze śmiercią jednego człowieka...

Automobil

Zaczął chciwie jeść drogę głodny automobil,
lecz ziemia uciekała zdjęta białą trwogą,
a on się znowu gniewnie do skoku sposobił,
by w paszczę schwycić strawę, która była drogą.

Zły, że się nie powiodło, parsknął, krzyczał, szumiał
i śpiewał o swym głodzie rozpaczliwą strofę,
ale nikt go nie słuchał i nikt nie rozumiał
nawet wszystkowiedzący, wszechpotężny sofer

Abstract

Ireneusz Piekarski

The John Paul II Catholic University of Lublin

Stanisław Salzman: a tragic yarn. A Lvov sketch

This sketch on the life of the pre-war Lvov outlines an interesting literary milieu emerging there toward the end of the 1920s decade, now entirely forgotten. The present essay primarily attempts at recalling Stanisław Salzman, poet and columnist. Against the clear example of the man and his oeuvre, the fate is described of the whole generation of artists of Jewish origin who once chose the Polish culture and language, combined with a left-wing orientation.